

Moje Idaho

To, co w tej refleksji jest pozbawioną wagi bagatelą, staje się esencją filmowej nostalgii – kaprysem medium, które funkcjonuje poza mechaniką nieustannej transmisji. Film tylko w części jest dziełem przynależnym autorom. Wypuszczony do widza staje się odpowiedzią na jego wrażliwość, emocje i przestrzeń odbioru. I tak też było w dniu pisania tych słów – w stulecie Niepodległej, gdy w poczuciu zbrzydzenia uciekłem w prywatność. 11 listopada przeżyliśmy apogeum ideologicznego wzmożenia, w które wciągnięto kino. Wyjście do kina stało się deklaracją plemiennego wsparcia. Jedni z wypiekami na twarzy przepowiadali w sukcesie Kleru rewoltę społeczną, inni na krytyce filmu zrobili błyskotliwą karierę w TVP Kultura. Trudno dziś mówić o Wajdzie bez politycznej deklaracji, trzeba też ostrożnie zachwalać Królikiewicza i Krauzego (gryząc się w język na wypadek omyłki w imieniu). Polaryzacja rozkroiła serca najtwardszych kinofilów – prywatną miłość do filmu uznano za grzech bezideowego eskapizmu.

Sięgnąłem więc po starość. W blasku rac zatopiłem się w Trzeci sens krytyka literackiego i filozofa Rolanda Barthes'a. Nikt nie pisał o erotycznym doświadczeniu kina jak on. O odbiorze dzieła, które wymyka się słowom, oddziałuje intymnie i gubi ton oficjalnych znaczeń. Wybierał się do kin samotnie. Zachwycał arcydziełami i filmowym planktonem. Nadawał mu sensy własne, niedzielone z nikim, często na wieczność scalone z daną chwilą zatopienia się w obraz. Tak samo ja pamiętam „moje” filmy: Lenny'ego, oglądanego w atmosferze lęku przed stratą bliskiej osoby, Noc pełzaczy, która z nieuchwytnych powodów ukształtowała moją wrażliwość bardziej niż niejedno arcydzieło, twarz Aleksandra z eposu Bergmana, przez którą widzę telewizor i meblościankę dziecięcego domu, Powiększenie, którego sens nieporadnie tłumaczyłem kumplom podczas meczu piłki nożnej. Te filmy zostaną we mnie z moim naddatkiem – prywatnym, niedzielonym z nikim. Nie unieważnią zawartych w nich znaczeń, przeciwnie: wzmocnią je przez pryzmat paradoksalnych spostrzeżeń. Lenny pozostanie filmem o samotności i strachu (jest o nim też przecież), Noc pełzaczy to smutek nieodwzajemnionej miłości (choć to przeoczany przez widzów odprysk fabuły), Fanny i Aleksander aktualizuje konkretne wspomnienie z dzieciństwa, którego słodko-gorzkie smaki każdy z nas na swój sposób z Bergmana wyciąga, a Powiększenie – gdy siedząc na sflaczałej piłce do nogi rozważaliśmy ontologiczny status piłeczki tenisowej... Mam przed oczami wszystkie te twarze.

Rafał Syska

Dalszy ciąg felietonu można znaleźć w grudniowym "Kalejdoskopie" – do kupienia w Łódzkim Domu Kultury, punktach Ruchu S.A., Kolportera, Garmond-Press i salonach empik. A także w prenumeracie (w opcji darmowa dostawa do wybranego kiosku Ruchu):

https://prenumerata.ruch.com.pl/prenumerata-kalejdoskop-magazyn-kulturalny-lodzi-i-województwa-lodzkiego?fbclid=IwAR0CJwQi1fl7y-1av7GdZlwB82ZmKdxZmMSeF9uNO1G6RKt-b4HEX_KIB8o